Warszawa, dnia 26 Lutego / 10 Marca №. 10. Rok 1861

MAGAZYN MÓD

DRZ. I. MINHEIMERA.

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. *w Warszawie rocznie* rs. 6. *Półrocznie* Rs. 3. *Kwartalnie* Rs. 1 k. 50. *Na prowincyi rocznie* rs. 7 k. 20, *półrocznie* rs. 3 k. 75. W *Cesarstwie* i *Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* Rs. 9 k. 20; *półrocznie* rs. 4 k. 75.
Prenumerować można w Redakcyi przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Ekspedycyi głównéj **Magazynu Mód** w Księgarni *M. Glücksberga*, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście N. 9 (411); w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych, w Księgarni P. W. Zacharkiewicza w Mohylewie nad Dnieprem i we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą.

* * *

W dniu drugim Marca, w murach stolicy naszéj odbył się pogrzeb ofiar poległych w dniu 27 Lutego. Na wezwanie utworzonego w tym celu Komitetu, wielo-tysiączne tłumy narodu, płynące od godziny ósméj rano ze wszystkich stron i zaułków Warszawy, połączone jedném uczuciem miłości, żalu i braterstwa, w największéj ciszy i spokoju rozdzieliły się zajmując chodniki ulic, przeznaczone na miejsce konduktu pogrzebowego. Żałoba jednym wszystkich była strojem, ciche westchnienie modlitwą, a łzy błyszczące w oczach każdego współczuciem i przebaczeniem chrześcijańskiém. Około godziny dziesiątéj, po odprawieniu nabożeństwa w kościele Swiętego Krzyża przez Arcybiskupa Fijałkowskiego, orszak pogrzebowy wyruszył, poprzedzony przez młodzież szkolną, sieroty z zakładów dobroczynnych, wszystkie cechy rzemieślnicze, garstkę górali znanych powszechnie pod nazwą druciarzy i Duchowieństwo wszelkich wyznań, pomiędzy którém znajdował się także Rabin izraelski ze swemi akolitami. Za tym orszakiem, dochodzącym już do rogatek powązkowskich, pięć trumien kryjących zwłoki poległych ofiar, na rękach współbraci wyniesione zostały z kościoła. Na każdéj z nich nazwisko wybite było mosiężnemi gwoździkami, a skromne czarne wieka okrywały palmy i cierniowe korony.

Przy odgłosie żałobnych śpiewów Duchowieństwa i biciu w dzwony we wszystkich kościołach Warszawy, niosący zwłoki ofiar postępowali zwolna, a tłumy pobożnych tysiącami zalegające chodniki uliczne, rozstępowały się w największym porządku, zostawiając wolne przejście dla pogrzebowego or-

szaku. Niebo prześliczną jaśniało pogodą, darząc ziemię ożywczemi promieniami słońca.

Gdy kondukt doszedł do Powązek, cechy i korporacje uszykowane w szeregi, weszły na cmentarz, by utworzyć szpaler w około grobu. Duchowieństwo otoczyło trumny, i gdy święte obrządki Kościoła Katolickiego ukończone zostały, wszyscy zgromadzeni wraz z Pastorami protestanckiemi i starszemi wyznania Mojżeszowego, zanieśli modlitwę do wspólnego nam wszystkim Boga za ofiarami.

Obok wspaniałości obrzędu, jednoczącego w sobie tyle różnorodnych pojęć, bratającego z sobą jednem uczuciem wszystkie warstwy społeczeństwa, najbardziéj zdumiewała cisza téj wielo-tysięcznéj massy narodu, postawa tłumów pełna godności, i porządek, jakiemu trudno uwierzyć, kto nie był i sam się o tém na własne oczy nie przekonał. Nigdzie nie było tłoku, nikt nie został popchnięty, nawet przypadkiem nadeptany—kobietom wszędzie oddawano pierwszeństwo, starcom poszanowanie, dzieciom udzielano opiekę—i każdy był stróżem najsurowszym siebie samego, bez najmniejszego szemrania, ulegając rozkazowi młodzieży akademickiéj i szkolnéj, która pod przewodnictwem obywateli na dzień ten przyjęła na siebie obowiązek utrzymania publicznego porządku. Na jéj to skinienie niezliczone tłumy natychmiast zatrzymywały się, rozdzielały, idąc w prawo lub w lewo, jak im wskazano; powozy, dorożki, wozy nawracały, a gdzie choć najmniejsza powstała wrzawa lub większe zebranie, jedna prośba młodzieńca, jeden wyraz przez niego wymówiony uciszał i uspakajał wszystko.

Bóg widać opatrznem okiem spojrzał na gród nasz stołeczny, módlmy się więc i prośmy o miłosierdzie.....

FILIP GIRARD.

Nazwisko miasteczka Żyrardowa, gdzie powstała pierwsza przędzalnia lnu w kraju naszym, znane jest powszechnie; niewszyscy jednak wiedzą, że to nazwisko pochodzi od pierwszego wynalazcy téj pożytecznéj machiny, który znaczną część życia strawił w Polsce.

Filip Girard urodził się w roku 1755 w Lourmarin, nad brzegiem Duranji. Obdarzony z natury wielką zdolnością, w dziecinnych już latach zapowiadał, że będzie niepospolitym człowiekiem. Umysł jego rozwijał się wszechstronnie: lubił poezję, malarstwo i muzykę, a obok tego zajmował się z zapałem mechaniką i naukami ścisłemi. Głównym przedmiotem jego pracy była chemja, któréj dokładny kurs odbył w uniwersytecie marsylijskim.

Już się był odznaczył kilku ważnemi wynalazkami na tém polu, otrzymał nawet złoty medal; kiedy raz przy śniadaniu ojciec podał mu Monitora z 12 Maja 1810 roku.

— Patrz Filipie, — rzekł, — znajdziesz tam coś ważnego dla siebie!

Filip wziął gazetę i odczytał postanowienie Cesarza Napoleona, zawarte w tych słowach:

„Naznaczamy w nagrodę 1,000,000 franków wynalazcy najlepszéj machiny do przędzenia lnu, bez względu jakiéjkolwiek będzie narodowości.“

Nigdy dotąd Filip Girard nie zwracał uwagi na len; mimo to, bez chwili wahania wyszedł z pokoju i przechadzając się po ogrodzie, począł rozmyślać głęboko. Najprzód postanowił zbadać to wszystko, cokolwiek dotąd odkryto w tym przedmiocie. Niebawem jednak odrzucił tę myśl, uważając słusznie, że skoro ofiarowano miljon wynalazcy, znać że wszelkie dawne próby nie zasługiwały na uwagę. Zrozumiał więc, że należało wysnuć nowy pomysł z siebie samego, nie oglądając się na drugich. Ułożywszy stosowny plan, zamknął się w pokoju i patrząc na len przez lupę, skręcał go i rozkręcał w rozmaitych kierunkach. Cały

dzień i noc następną strawił na téj próbie. Nazajutrz o zwykłéj godzinie przyszedł na śniadanie do rodziców: cała rodzina siedziała zebrana w koło stołu. Filip zbliżył się do ojca z okiem rozpromienioném.

— Ojcze! — rzekł biorąc go za rękę, — mamy już miljon franków!

Poczém podjąwszy garstkę lnu namoczonego w wodzie, skręcił w palcach nitkę nadzwyczaj cienką i ukazał ją ojcu.

— Com ja wykonał palcami, — zawołał, — moja machina to wykona, a plan jéj mam juz w głowie!

Odtąd zwrócił myśl ku temu jedynemu celowi. Rodzice ufni w genjusz syna, ułatwiając mu środki do urzeczywistnienia tego ważnego pomysłu, sprzedali własność i zaciągnęli dług na swe imię. We dwa miesiące potém, Filip otrzymał pierwszy patent, ale chcąc doprowadzić do wszelkiéj możliwéj doskonałości swoje dzieło, pracował jeszcze nad niém dwa lata, i dopiero w początkach 1813 roku założył przędzalnię na ulicy Meslay w Paryżu. Konkurs ogłoszony wyrokiem cesarskim miał być rozstrzygnięty 7 Maja tegoż roku; Filip mógł rościć niezaprzeczone prawo do miljona franków. Ale nastąpiły wojny 1813 i 1814 roku, przerwano przygotowania do konkursu, które czyniono już w konserwatorjum sztuk i rzemiosł. W obec wielkich wypadków zagrażających Francji, Filip Girard przepomniał osobistych widoków, a zajęty jedynie ocaleniem kraju, wymyślił nowy rodzaj broni parowéj, z któréj można było sto sześćdziesiąt razy dać ognia na minutę. Spłaciwszy dług dobrego obywatela, zajął się na nowo przędzalnią; ale był to czas niepomyślny: poświęcił wszystko co miał, licząc na przyrzeczony miljon; konkurs tymczasem nie doszedł wcale do skutku. Nie dosyć na tém: dwaj pomocnicy, których Girard przypuścił do współki, nadużyli haniebnie jego zaufania, skradli rysunki machin i zawieźli je do Anglji, gdzie otrzymali od rządu angielskiego patent swobody i 700,000 franków, w nagrodę za nikczemną kradzież. Tym sposobem przędzalnia lnu mechaniczna zaprowadzoną została naprzód w Anglji, zkąd ją później naśladowano we Francji.

Zubożony skutkiem téj kradzieży, Filip Girard opuścił kraj rodzinny. Cesarz Alexander I, mianował go naczelnym inzynierem w kopalniach w Polsce. Wówczas-to założył w dobrach Guzowskich wielką przędzalnię, przy któréj powstało miasteczko zwane od jego nazwiska Żyrardowem.

Filip Girard przepędził w Polsce lat ośmnaście, pracując bez ustanku i wzbogacając przemysł coraz nowemi wynalazkami. Im bardziéj zachodził w lata, tym większą czuł w duszy tęsknotę; nakoniec w roku 1844 postanowił wrócić do ukochanéj ojczyzny, aby złożyć kości obok ojców. Przybył do Francji z synowicą swoją i małą jéj córeczką. Wówczas właśnie czyniono przygotowania do wystawy. Sale pełne były jego planów i wynalazków. Był-to prawdziwy tryumf dla Girarda. Ilekroć ukazał się w gmachu, jedni drugim ukazywali ze czcią tego Nestora przemysłu i z poszanowaniem odkrywali głowę w obec niego. Starzec w prostocie ducha zaledwie mógł uwierzyć, że się do niego ściągają takie hołdy. Po 30-letniéj niebytności w kraju, ujrzał z radością dojrzałe owoce swych młodzieńczych pomysłów rozpowszechnione wszędzie. Wyprawiono ucztę na cześć jego, a sędziowie przyznali mu jednomyślnie medal złoty.

Mógł wtedy Girard dopomnieć się o nagrodę przyrzeczoną przez Cesarza, ale stan francuzkiego skarbu nie pozwalał na to bynajmniéj. Zapewniono mu tylko sześć tysięcy franków rocznéj pensji.

Krótko jednak cieszył się widokiem ziemi ojczystéj: umarł w Sierpniu 1845 roku w siedmdziesiątym roku życia. Naród przeznaczył stosowne utrzymanie bratu jego i synowicy.

DUMANIE PRZY KOMINKU.

(Wyjątek z Pamiętników mojego Szlafkamrata).

(Dokończenie).

Zostawszy sam, zatopiłem nieporuszony wzrok w żarzące węgle komina; bezmyślnie przysłuchiwałem się trzeszczeniu i załamywaniu dopalonych głowni; długo nie mogłem zebrać rozproszonych myśli—nić marzeń się zerwała; jedna myśl tylko krążyła mi w głowie: Teona mnie nie kocha; dlaczego mnie Teona nie kocha? Od sześciu tygodni jestem ciągle przy niéj i nie opuszczam żadnéj sposobności objawienia jéj moich uczuć. Miéć przedmiot swéj miłości pod jednym dachem i przebywać z nim dnie samotne, to wielka szansa dla kochanka. Przecież tak znowu niedołężny nie jestem; nie pochlebiając sobie, czuję, że mam bez porównania więcéj przymiotów od wszystkiéj znajoméj mi młodzieży. Bo rozważmy tak bezstronnie wszystkie moje stosunki, przymioty, wady, stanowisko, o ile mogę dla Teony dobrą partję stanowić. Zacznijmy od położenia w świecie.

Mam jedną wioskę dobrze zagospodarowaną, nieobciążoną długami; grunta żyzne, lasek, dworek szlachecki, niewytworny, ale obszerny i bardzo wygodny. Nie jest to wprawdzie bogactwo, ale zapewnia Teonie byt w takim stanie, do jakiego przywykła. Wziąwszy przytém na uwagę, że ona sama

może mieć zaledwie kilka tysięcy posagu, bo można powiedzieć, że (pod tym względem rozumie się) stanowię dla niéj bardzo dobrą partję.

W stosunku do niéj jestem więc bogatym; oczywiście ta jedna zaleta nie wystarcza, niemniéj jednak jest ważną. Ileż trosk, ile cierpień oszczędza dobry byt! A Teona ze swemi literackiemi i muzykalnemi przywyknieniami w żaden sposób nie mogłaby wyjść za mniéj majętnego. To tak, jakby kto chciał palmę afrykańską przesadzać pod zimne niebo północy.

Pomijam już, że jestem obywatelskim synem, ze staréj znanéj szlachty. Wprawdzie jest-to przesąd; ja jestem demokratą, przestaję z ludźmi bez przeszłości i nie daję im nigdy uczuć, że mam się za coś wyższego. Mam lat dwadzieścia siedm, Teona ma dwadzieścia jeden, jestem więc dla niéj trochę za młody; mogę to sobie jednak rachować raczéj za przymiot, niż za wadę.

Cóżby mogła zarzucić mojéj powierzchowności? Jestem wzrostu średniego, zdrów, regularnych rysów twarzy; mam oczy niebieskie, włosy i wąsy blond.

Otóż bez pochlebstwa mogę sobie przyznać, że jestem przystojnym mężczyzną. Uważałem nieraz, że robię na pannach wrażenie. Mam coś z téj sarmackiéj powagi połączonéj z wesołością. Oprócz wąsów, innego zarostu nie noszę. Zapuszczają teraz hiszpanki, napoleonki, kozie bródki, angielskie faworyty, ale to jest cudzoziemczyzna; a ja cenię narodowość, jestem jéj protektorem, obrońcą i dlatego noszę wąsy, jadam zrazy z kaszą, barszcz z rurą; słowem, i w najdrobniejszych rzeczach nie odstępuję od zasady.

Ułożenie moje, ton, maniery podwyższają jeszcze przystojność. Że tak jest, poznać mi było łatwo; nie jest-to żadne zarozumienie. Wszędzie w towarzystwach przewodniczę młodzieży, kieruję całą zabawą; uważałem nieraz, jak każde moje słowo miało wagę u kobiet, jak z każdego żartu urzędownie prawie śmiać się musiały.

Wychowanie otrzymałem staranne. Skończyłem gimnazjum w P... i miałem osobnego metra do francuzkiego języka, tak że mówię płynnie po francuzku. Potrafię kilka kawałków zagrać na fortepianie, czytuję książki i gazety, mogę prowadzić spory literackie. W przeszły Czwartek jeszcze, pana C..., pedanta guwernera takem zakrzyczał, że nie wiedział, co mi odpowiedzieć. Rozprawialiśmy o nowych dążnościach, nowym kierunku, jaki powinna przybrać polska literatura. Teona słuchała, i widać, że zrobiłem na niéj wrażenie, bo chociaż zna się na tém może lepiéj ode mnie, nie wmieszała się wcale do rozmowy. Ale gdzie tam kobietom! zawsze lękliwe w rozumowaniu; choć mają nagromadzone wiadomości, nie potrafią ich użyć, nie potrafią wzbić się do tych szczytnych pomysłów, do których my dochodzimy.

W całém sąsiedztwie, na siedm mil w około, nie masz tu nikogo tak uczonego jak ja, z młodzieży rozumie się, bo starszych jest kilku, z któremi ledwie się porównać mogę. Hrabia W... skończył uniwersytet w Halli i dużo podróżował; G... ciągle w książkach siedzi; B... pisze korrespondencje do Gazety Codziennéj; zresztą i ja dawno się na to zbieram, ale zawsze tak jakoś mi schodzi; główna rzecz, że nie mogę się zdecydować, do któréj gazety pisać.

Niedawno odkryłem w sobie zdolność, któréj wprzód nie przypuszczałem nigdy, bo nawet czytać wierszy nie lubiłem. Jestem poetą! Tak, napisałem już kilka wcale niezłych poezyj i dziwię się, że to mi tak łatwo przychodzi, boć przecie do tego trzeba mieć nadzwyczajne od natury uposażenie, talent wrodzony. Teona śmieje się ogromnie, kiedy czyta moje wiersze, ale to oczywiście, aby pokryć pomieszanie i wstyd dziewiczy, bo oświadczam jéj miłość moją z całym zapałem. Dziwna-to rzecz to natchnienie poetyckie! Ogarnia mnie wtenczas tak coś dziwnego, tak przejmuje jakoś całą moją istotę, tak mi się kołuje w głowie, i piszę wtenczas sam nie wiem co: coś co rozumiem, to jest właściwie nie rozumiem, a czuję jakoś tak przenośnie, idealnie i to jest właśnie szczytność.

Posłałem kilka sonetów do Bibljoteki Warszawskiéj, ale coś długo nie zamieszczają. Mieliżby odrzucić? teraz tak mało poetów, że nie powinniby na to zważać, że nazwisko jeszcze nieznane. Jakiby to był tryumf, gdybym Teonie przyniósł świeży poszyt Bibljoteki, w którymby natrafiła na mój sonet: „Królowa lilij“, tak dobitnie ją malujący. Podpisałem się tylko: *A. W. Z. z P...wic.*

Wiem, że to postawiłoby mnie bardzo wysoko w pojęciu Teony, która lubi książki, a szczególniéj poezje. Prócz tego, podejrzywam ją, że jest próżną,—o tak, to niezawodnie! Zresztą wszystkie kobiety są próżne.

Koniec końców, nie tak prędko Teona znajdzie równą mnie partję. Co do moralnego usposobienia, trudno chwalić się przed sobą samym, ale czuję to i wiele razy już spostrzegłem, że jestem czuły, szlachetny, wspaniałomyślny: robię dla wielu to, czegoby pewno dla mnie nikt nie zrobił. Zdaje mi się, że cechuje mnie szczególniéj stałość charakteru. Już-to zasad moich nie zmieniam nigdy; a w życiu, w czynach wolę narazić się na nie wiem co, niż uchybić swoim zasadom. Mam odwagę cywilną, i kiedy co do kogo czuję, to mu wręcz

w oczy powiadam. Ztąd, rozumié się, narażam się na kłótnie, z których nabrałem przekonania, że nie masz przyjaźni na świecie.

Prawda, że mam i wady. Jestem nadzwyczaj prędki, prawdziwa gorączka; kiedy się rozgniewam, to gotów jestem na wszystko. Ale cóż robić? już tego zmienić nie potrafię; zresztą, podobno-to lepiéj, niż być ślamazarnym, bez życia. Jestem także trochę za dumny, już mi to niejeden mówił, i musi być prawda, choć ja tego nie postrzegam w sobie—no! toć przecie nikt nie może być świętym za życia. Wszystko obrachowawszy, jestem dobry chłopiec; nałogów żadnych nie mam, a główna ta, że kocham szczerze i głęboko—poświęciłbym całe życie na pracowanie dla szczęścia Teony: ona byłaby głównym celem mojego istnienia na ziemi. Nie, niepodobna, aby na taką prawdziwą miłość pozostała długo obojętną. Napiszę do niéj list, w którym przedstawię jéj to wszystko; ale ktoś w podwórze wjeżdża, to pewno Janek wraca.

— Antoni! zobaczno, kto tam przyjechał; jeżeli Janek, to go tu przyprowadź.

— Chwała Bogu, że chłopak przyjechał. Przy takiéj zawiei łatwo mógłby się przypadek zdarzyć. Przytém, im wcześniéj, tym lepiéj gdy będą lekarstwa użyte.

Wszedł Janek obsypany śniegiem; równocześnie z przeciwnych drzwi wyszła Teona.

— Cóż, Janku, sprawiłeś się dobrze? — zapytałem.

— A bogać źle? proszę wielmożnego pana: doktora odwiozłem, lekarstwo w aptece wziąłem, sprawunki pokupowałem, na pocztę wstąpiłem; ino taka zawieja okrutna, że koni przed sobą nie widać, to wlokłem się powoli.

— Dobrze, mój kochany, idź sobie odpocznij.

Janek złożył przywiezione paki na najbliższym stole, pokłonił się i wyszedł. Ja i Teona schwyciliśmy ciekawie za gazety i listy. Jeden z nich był adresowany do Teony.

— To od cioci z B...owa! — radośnie wykrzyknęła dziewica.

Pospiesznie rozłamała pieczątkę, wewnątrz był drugi list bez pieczęci. List ten wywołał rumieniec radości i pomieszanie na twarz Teony. Patrzałem na nią badawczym wzrokiem; jakieś złe przeczucie mnie przeniknęło: zazdrość, gniew, ciekawość wstrząsnęły mną na jeden raz. Teona spojrzawszy tylko na list ciotki, schwyciła zaraz za drugi i wpiła się weń oczami tak, że zdawała się zapominać zupełnie o wszystkiém, co ją otacza. Po chwili ścisnęła list w drgającym ręku, zakręciła się szalenie po pokoju, i „On wraca, on wraca!“ wykrzyknęła głosem tak uniesionym, tak radosnym, że aż chora z przyległego pokoju słabym głosem odezwała się: „Co tam takiego? kto wraca, Teono?“ Teona pobiegła, rzuciła się w jéj objęcia i okrywała namiętnemi pocałunkami. Łzy radości spływały po jéj licach. Ja poszedłem za nią zwolna i stanąłem w progu.

— Droga babciu, on wraca, on przyjedzie!

— Kto taki?

— Mieczysław!

— Mieczysław? Ten który cztery lata temu...— chora zakasłała się.

— Ten sam kochana babciu!

— Doprawdy? och! jakże się serdecznie cieszę! biedny chłopiec, dużo wycierpiał...

O! bardzo dużo, ale teraz nie będzie nieszczęśliwym; teraz musi mu los nagrodzić przeszłe cierpienia! — powiedziała Teona z zapałem.

— I nagrodzi, jak widzę, kiedy takie złote serce jak twoje, chowa dla niego niezmienną miłość. Słyszałam wtenczas, przypominam sobie, że to z was miała być para. Biedna twoja matka nie doczekała jego powrotu, a twojego szczęścia.

Teona westchnęła i zamyśliła się.

Stałem we drzwiach jak skamieniały.

— Przeczytajże mi list jego; kiedy wyjechał, prędko przyjedzie? — zapytała chora.

— Ach! długo, długo jeszcze, nim te 1,400 mil przebędzie, a niebezpieczeństw ile na drodze!

— Bóg go szczęśliwie doprowadzi, miéj w Nim ufność moja kochana.

W. Bartkiewicz.

O ALGIERZE

PRZEZ

L.... M........

Z zamorskiéj krainy, sądzę, że gawędka powinna być ciekawą, chociaż Afryki nie będę opisywał z książek, ale na oko, jak ją sam widzę i pojmuję.

Najprzód, kiedy mówię o Afryce, to ma się rozumiéć francuzkiéj, czyli Algierji; innéj nie znam i nieżyczę sobie znać, chociaż miewamy tutaj próbki tych tam rozsiadłych po obszarach afrykańskich ludów: to z sąsiedniego Maroko, to z Tunis, to z Egiptu, to z Sachary, to z Senegalu, to aż z królestwa murzyńskiego Sudanu. Wszystko to sobie podobne, a niewiele zajmujące: jedni czarni, drudzy biali—oto cała różnica; a ziemia, to podobno najpiękniejsza tutejsza, bo więcéj na północ, a zatém wilgotniejsza i przez to żyźniejsza.

Algierja dzieli się na trzy prowincje, nazwane świeżo departamentami przez assymilację do Francji: Algierski Departament, Orański i Konstantyński; prócz tego każdy dzieli się na dwie sfery, zwane cywilne i wojskowe; w pierwszéj prefekci rządzą, w drugich jenerałowie prowincyj, a raczéj biura tak zwane arabskie. W takich biurach jest szef biura, zawsze wojskowy, kapitan albo porucznik, odkomenderowany z pułków regularnych, ma tłómacza wojskowego i spahisów. Ci ostatni są to pułki kawalerji złożone z Arabów, a komenderowane przez oficerów i podoficerów francuzkich; wszakże jest pewna liczba i oficerów arabskich i podoficerów, ale bardzo ograniczona, dla prostéj przyczyny, żeby tak nie zrobili jak Cypaje Anglikom w Indjach. Takich pułków Spahisów jest cztery: jest-to żołnierz niby regularny, a nieregularny, płatny dobrze; ubior, koń, rynsztunek są jego własne, tylko mu na nie dają pieniądze przy zaciąganiu się i późniéj je odtrącają aż do zupełnéj spłaty. Konia przyprowadza zkąd mu się podoba, byle miarę trzymał i zdrów był; a ubior i rynsztunek dostaje z magazynu pułkowego. Między osiodłaniem i ubiorem nie ma różnicy od Araba niewojskowego. Pałasz u boku; czapka czerwona z kutasem, przykryta rodzajem chustki białéj, opasanéj po wierzchu sznurkami z sierci wielbłądziéj: to stanowi zawój. Kaftan czerwony, pantalony niebieskie, szerokie w buty; buty czerwone (jak nasze dawne), a na buty trzewiki czerwone. Pas czerwony wełniany; burnus jeden biały, drugi czerwony, aż po kostki, tylko zawsze na ramiona, zawinięty z jednéj strony lub dwóch. Burnusów zawsze Arabi noszą więcéj jak jeden, czasem pięć i sześć na raz, zwłaszcza że ma to stanowić ich dystynkcją. Szefowie tylko i spahiści noszą burnusy czerwone, innemu zaś żadnemu Arabowi nie wolno; ale to nie francuzkie prawo, lecz ich samych takie zwyczaje. Czerwony burnus, to oznaka władzy, i dlatego taki prosty spahis jak wpadnie do trybusu (koczowiska), to jak sułtan rządzi, i wszystko drży. Prócz spahisów, ponieważ Arabi dzielą się na trybusy albo gminy, a raczéj familje; każda z nich ma swego szefa czyli naczelnika, dawniéj prawem dziedzictwa, wyboru, a dziś przez rząd mianowanego i płatnego. Taki naczelnik, to istny król, despota, pan życia i śmierci, nazywa się *szeik* albo *kaid*, tylko przed biurem arabskiém i przed najostatniejszym ze sług tego biura nic nie znaczy. Nadto, są agowie czyli wyżsi szefi, co mają pod sobą kilka trybusów, i kalifi, co całą rządzą prowincją, każdy, choćby sułtana nosił tytuł, musi słuchać biura arabskiego i być mu uległym jak niewolnik. Ogromne tych biur wykryły się nadużycia: nie lepiéj się spisywali Francuzi od tureckich paszów, troszkę to ukrócono, ale niezupełnie; zresztą, nie wynaleźli jeszcze sposobu rządzenia Arabami, chociaż najłatwiejszy jest łagodność i sprawiedliwość; skasowawszy zaś biura i kaidów, podciągnąć pod ogólne ustawy całą ludność.

Ludność posiadłości francuzkich dzieli się na maurytańską, Arabów, Kabylów i Żydów. Są jeszcze odcienia mieszkańców miast, ale zawsze wychodzą z jednéj z tych ras.

Maurowie zamieszkują miasta tylko, a raczéj budynki. Są to ci sami, co kiedyś Hiszpanję posiadali, co Afryką rządzili. To z Bożéj łaski rasa przeznaczona li do panowania nad temi, co im się dadzą, a raczéj do obdzierania tych, co na to pozwolą. Za czasów przed-francuzkich do nich należały urzędy, władza i bogactwa, reszta to niewolnicy; Francuzi zrównali wszystkich, i dziś mniéj mają znaczenia jak Arabi, wyjąwszy, że na księży (mufti), na sędziów (kadi), tylko oni są mianowani, bo tylko oni uczą się czytać i pisać. Trudnią się dziś handlem małym, głównie korzennym, bo łokciowy wyłącznie w ręku Żydów; prócz tego trudnią się golarstwem, kawiarstwem, szewctwem, wyrobem jedwabiów, tokarstwem i t. p. Rasa ta jest najpiękniejsza z ludności afrykańskiéj, a piękniejsza od Europejczyków, całkiem poprawna, jeden typ. Wzrost nie będąc olbrzymim, miary jest niepospolitéj, kibić foremna, dobrze zbudowana, ciało białe jak alabaster, mimo że pod skwarném żyją niebem; twarze okrągłe, czerstwe; szyje grube ale nie nad miarę; dobréj tuszy, i jednego nie widziałem Maura chudego, jednak nie mają pozoru opasłych; zarost ciemny, ani jednego blondyna. Wąs, ale nie zawiesisty; broda na grecki sposób, nigdy długa, jak u Niemców lub u Żydów, i nierozczochrana; fizjonomja przyjemna; oczy czarne pogodne, ni żywe, ni dzielne, a przenikliwe; wyraz w ogóle poważny, chód majestatyczny i elegencki; nadzwyczaj wszystko w nich tchnie pewnością, niby świadomością, jakby w najucywilizowańszym kraju najukształceńszych ludzi, i tak jest, ale ciałem. Zawsze porządnie ubrany, czysto, a skoro go stać to i elegancko; trzewiki lakierowane czarne, pończochy białe, kaftan haftowany złotem, albo wyszywany galonem jedwabnym (koloru do gustu każdego); pantalony po za kolana, szerokie, białe, z perkalu, obcisłe pod kolanem, gdzie pończochy się zaczynają; turban biały lub kolorowy z szalu; burnus wełniany biały, zarzucony na ramię; charakter łagodny ale dumny. Oto masz Maura w całém znaczeniu. Trudno wiedzieć, co wewnątrz się ukrywa w tych duszach, ale fizjologicznie mówiąc albo uważając, musi tam być piękniéj, równoważniéj,

jak w tém, co się manifestuje na zewnątrz mniéj przyjemnie. Nie może tam być duszy tureckiéj, zawsze dziko i ohydnie wyglądającéj z oczu; ni żydowskiéj, łamiącéj konwulsyjnie wszystkie członki, we wszystkich ruchach zdradzającéj się czémścić *nieboskiém*.

Niewiele już jest tych zabytków najdoskonalszych produkcji dawnego świata; zdaje się, że jedynie w swoim żywiole—w wojnach i panowaniu mogli się rozpleniać; nie daj wody rybie, a ryba uśnie wnet. Dziś oni stracili zupełnie instynkt dawnego rzemiosła (mówię o algierskich): w koniach się zupełnie nie kochają, nigdy konno nie jeżdżą, do wojska się nie zaciągają, w broni żadnego nie mają upodobania. Handel lub urząd dla Maura jedyne zatrudnienie, do roli nieusposobiony i widać ma wstręt; ale lubi cień, naturę i skoro go stać, zaraz ma letni dom za miastem, otoczony drzewami. Dla Francuzów są oni całkiem nie niebezpieczni, choć im odebrali panowanie, żadnéj nie żywią zemsty, szanują ich, przejmują zwyczaje europejskie, głównie zbytkowe: młodzi już się i upijają, a jak piją, to absent bez wody. Szkoda tego pięknego ludu, radbym go widziéć w wieki w dal przedłużonego, bo natura musiała pracować tysiące lat, nim z porządku wydała owoc tak kształtny.

(d. n.)



We wszystkich magazynach warszawskich widziemy tylko czarne przedmioty do ubrania: o nich więc mamy sobie za obowiązek uwiadomić nasze Czytelniczki.

W składzie pana Schlenkera uważaliśmy piękne rypsy czarne w drobny rzucik czarny, mięszany z białym; cena ich nader przystępna: łokieć po złp. 6 gr. 20. Są także w tym magazynie inne wyroby czarne w kratę białą, popeliny wełniane w drobne białe paseczki, przytém wielki zbiór kaszmirów i kamlotów w wybornym gatunku. Oprócz wielu rozmaitych płaszczyków, widzieliśmy w tymże magazynie gładkie szale czarne tarlatanowe, bardzo właściwe na tę porę. Szal taki wielki, cienki i nadzwyczaj układny, kosztuje złp. 100. Są także szale z białym do koła szlakiem i chustki wielkie, przerabiane biało u brzega. Piękniejsze chustki kosztują po złp. 100, tańsze po złp. 60.

U pani Sobolewskiéj zwróciły uwagę naszą ubiorki z krepy czarnéj w kształcie wieńca, naszywane perłami czarnemi. Ładne są także fanszoniki czarne koronkowe, podpięte z boku kokardą.

Kapelusze wiosenne zaczynają się już pojawiać: z pomiędzy tych podobał nam się bardzo kapelusz czarny jedwabny z takimże karczkiem; brzeg ronda biały, zaszyty był w krzyże czarną aksamitką. Fanszonik koronkowy spadał na główkę i karczek. Podpięcie składało się z blondynki białéj po bokach; nad czołem tworzyła djadem koronka czarna, ozdobiona czarną lawą.

Odznaczała się także prostotą i wdziękiem kapotka czarna jedwabna naciągana, podpięta kokardą czarną nad czołem i blondynką białą po bokach.

Z pomiędzy sukien zwróciła naszą uwagę w magazynie panien Kuhnke suknia czarna wełniana z *gros grain*, przedłużona cokolwiek z tyłu. Stanik gładki zapinał się na guziki szmuklerskie, powleczone krepą. Rękawy zamknięte wszyte były w pasek szeroki, objęty brzegiem falbaneczką z krepy podwójnéj. Na okrycie służyła ponsza czyli kardynałka dosyć długa, obszyta w koło falbanką krepową, układaną w rurki. Garnirowanie to dobrze przypada do sukni wełnianéj, a choć się zniszczy, można je łatwo odmienić. Na głowę przygotowany był wieniec krepowy strzyżony, z długiemi końcami w tyle.

W tymże magazynie są ładne wiosenne kapotki. Jedna z nich czarna jedwabna marszczona, miała brzeg ronda klarowny, nagarnirowany cztery razy czarną koroneczką. Podpięcie składało się z czarnéj blondynki po bokach i djademu z gron czarnych po nad czołem. Kapotka ta kosztuje złp. 60. Są także i tańsze kapelusze po złp. 40, z czarnego włosia mieszanego z białém, przepasane przez wierzch wstążką w czarną i białą kratkę. Karczek do nich mocno nafałdowany z podwójnego czarnego tarlatanu, obszyty brzegiem szeroką wstążką, taką samą, jaką ubrany kapelusz. Podpięcie z czarnéj blondynki po bokach, nad czołem kokarda ze wstążki, złożona z dwóch pukli, przepiętych w pośrodku.

Mówiąc o ubraniu żałobném, niech nam tu wolno będzie dodać jedną uwagę. W przekonaniu naszém, odzież żałobna powinna być nacechowana wielką prostotą i powagą. Jeżeli wdzięk niezbędnym jest warunkiem w ubiorze kobiety, żałoba nawet wyłączać go nie może; ale wszakże wdzięk nie polega na sztucznych wymysłach i ozdobach, od których powinna być wolną odzież wyrażająca

głębie cierpienia. Inaczéj żałoba stanie się próżną igraszką i komedją. Są rzeczy święte, których nadużywać nie wolno—żałoba należy do ich rzędu. Kto je lekceważy, lub ich używa za proste narzędzie próżności, kto czyni z nich zabawkę, ten jest prawdziwym świętokradcą.

Nowości Zagraniczne.

Le bon ton.—Zwyczaj okazywania boleści z utraty drogich osób, przez jakiś znak zewnętrzny, sięga odległéj starożytności. Pismo ś. mówi, że po śmierci Sary Abraham dopełnił obowiązków żałoby; że Juda straciwszy żonę, zamknął się i nie prędzéj ukazał oczom ludzkim, aż minął czas poświęcony żałobie. Żydzi po śmierci blizkich swoich golili włosy i rozdzierali szaty; sam tylko wielki kapłan nie przywdziewał nigdy szat żałobnych.

Egipcjanie zapuszczali włosy i obcinali brodę na znak żalu. Assyryjczykowie, Persowie golili się na wzór Egipcjan. Ci ostatni nosili żałobę w kolorze żółtym, Etjopowie w popielatym, Chińczycy i Sjamczykowie używali białego koloru.

Turcy przybrali błękitną i fijołkową barwę. Niewiasty greckie i rzymskie nosiły naprzód żałobę w czarnym kolorze, późniéj jednak zmieniły go na biały.

Królowe francuzkie przyjęły także biały kolor; pierwsza dopiero Anna z Bretanji przywdziała żałobę czarną. Królowie francuzcy używali koloru fijołkowego do żałoby. Jednakże Karol VII i Ludwik XI przywdzieli czarną szatę po śmierci ojca swego.

Dziś czarny kolor upowszechnił się na żałobę pomiędzy wszystkiemi niemal narodami.

U Żydów żałoba trwała trzydzieści dni. U Rzymian dziesięć miesięcy. Likurg przeznaczył dni jedenaście na żałobę Spartanom.

We Francji czas trwania żałoby zmienia się stosownie do stopnia pokrewieństwa. Wdowa nosi żałobę po mężu rok i sześć tygodni; na pierwsze trzy miesiące i pół służy suknia gruba wełniana, szal merynosowy lub bareżowy, według pory; czepek krepowy gładki, wiązany na końce. Do wyjścia kapelusz krepowy z woalem, takiż sam kołnierzyk i mankietki. Rękawiczki z filozeli, biżuterje z lawy, chustka do nosa z czarnym brzegiem. Na trzy następne miesiące służy suknia z gładkiego orleanu, popeliny lub innéj tkaniny wełnianéj, kapelusz jedwabny przybrany krepą, rękawiczki kozłowe. Przez trzy miesiące potém można nosić suknię z jedwabnéj gładkiéj materji *gros des Indes, gros d'Ecose,* lub mantyny; czepek, kołnierzyk, rękawki gipiurowe. W ostatnim kwartale używają sukien białych z czarném, jedwabnych, wełnianych lub bawełnianych, z białym kołnierzykiem i takiemiż rękawkami.

Po rodzicach żałoba trwa także rok i sześć tygodni. Niektóre osoby w ostatnim kwartale używają popielatego i fijołkowego koloru.

Po dziadku i babce noszą żałobę przez pół roku. Na pierwszy kwartał służy suknia gładka wełniana, czepeczek tiulowy ze wstążką, kapelusz gładki jedwabny. W drugim kwartale przyjęty jest kolor popielaty i fijołkowy.

Po siostrze i bracie żałoba trwa także pół roku. Po wuju, stryju, ciotce, trzy miesiące.

Opis ryciny.

Fig. 1. Czepeczek z białéj illuzji, ubierany czarną aksamitką i różami. Garnirowanie składa się z białéj i czarnéj blondynki.

Fig. 2. Czepeczek okrągły z tiulu białego, pokryty czarnym tiulem. Garnirowanie z białéj neżki, obszytéj czarną blondynką; wstążki zielone.

Fig. 3. Czepek tak zwany *rosière*, muszlinowy. Garnirowanie muszlinowe, obszyte wązką koroneczką gipiurową. Wstążki niebieskie.

Fig. 4. Kołnierzyk muszlinowy z końcami, obszyty falbanką. Kołnierzyk ze wstawek haftowanych i muszlinu układanego w fałdki. Szmizetka muszlinowa, kokarda zielona.

Fig. 5. Berta z klarownego tiulu w muszki lub illuzje, marszczona cała w bufki. Przepięcia na niéj z czarnéj mantynowéj wstążki albo aksamitu, obszyte wązką czarną koroneczką. Przy wykroju i pod przepięciami berta naszyta jest po trzy razy czarną aksamitką. Szeroka koronka u dołu, a przy wykroju wązka zdobi ją w koło. Kokarda przy niéj czarna.

Fig. 6. Kołnierzyk stojący karbowany. Szmizetka muszlinowa. Krawatka czarna jedwabna lub aksamitna.

Fig. 7. Czepek z haftowanego muszlinu w kształcie *chłopki*. Z boku prawego wieńczyk z róż koloru porzeczkowego. Przepasanie i kokarda ze wstążki tegoż koloru. Garnirowanie z białéj blondynki.

Fig. 8. Kanzut muszlinowy haftowany, z kokardą czarną i rozetą koronkową przy szyi tegoż koloru.

Fig. 9. Czepek okrągły z gładkiego tiulu, przybrany astrami lila i różą koloru słomkowego. Garnirowanie z białéj blondynki. Szarfy szerokie z illuzji.

Kwiaty i wstążki fijołkowe najodpowiedniejsze do tych wszystkich czepków.

KORRESPONDENCJA.

P. L. J. w Gub. Wo...—Tiul używający się do wyszycia na firanki, serwety, poduszeczki i t.d., szerokości ma łokci $3\frac{1}{2}$; sprzedaje się po złp. 6 gr. 20.— —*Pani Te. Bu...*—Rsr. 40 odebraliśmy; sprawunki jak najspieszniéj wysłane zostaną.— —*Pa. Sa. Wy...*—Próbki szyrtyngu posłaliśmy. Cena haftu szlafroczka wynosić będzie złp. 120.— —*Panu B. Ni. w Bo...*—Wazonów 6 z kwiatami i świece do ozdoby ołtarza, kosztować będą złp. 320. Na burno kaszmirowe i pióro czarne strusie, potrzeba będzie złp. 170.— —*Pannie Ali. Ogo. w B..* —Na trzynaście pytań Pani listownie odpowiemy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się wzór strojów na głowę.

Wolno drukować.—Warszawa d. 24 Lutego (8 Marca) 1861 r.—Cenzor *R. Kozicki.*— w Drukarni K. Kowalewskiego.



MAGAZYN MÓD.